

DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY
NR. 2. PAŹDZIERNIK 1932. ROK IX.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK IX. KRAKÓW, PAŹDZIERNIK 1932 NR. 2.

ŚWIĘTO WDZIĘCZNOŚCI.

„Wdzięcznem Cię tedy sercem Panie wyznawamy,
Bo nad nie przystojniejszej ofiary nie mamy“ ...

Słusznie z serc naszych płynie hymn wdzięczności ku Panu i Królowi naszemu dziś, gdy cieszymy się wolną Ojczyzną, niepodległem, własnem, odrodzonem Państwem.

Jeśli wieszcz nasz z okresu niewoli w poczuciu obfitości darów Bożych sercem wezbranem wdzięcznością wołał: »wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie...«, to cóż powiemy my, którzyśmy przeżyli zmierzch niewoli, oglądali Jutrzenkę świtającej wolności i mamy szczęście pracować z tą myślą, by w dniu każdym z każdym naszym wysiłkiem rosła potęga naszej drogiej Polski.

Zrozumiał to naród nasz cały, że temu, co gwiazd ruchami zarówno rządzi w przestworzach niebieskich, jak i każdem istnieniem jednostki czy narodów włada, wdzięczność i miłość się należy za to, że nam dał to, co największym jest z darów ziemskich: własną Ojczyznę, — wolne wielkie Państwo.

Więc wspólnie, wszyscy razem ofiarą i wysiłkiem pieniężnym wznieśliśmy pomnik Sercu Bożemu Chrystusa-Króla.

Świadkiem będziemy w dniu 30 października b. r. tej chwili uroczystej, gdy Jego Eminencja ks. Kardynał Prymas poświęci uroczyście nowowzniesiony pomnik, co głosi dziś i przyszłości przekaże, że naród nasz umie być wdzięczny, że, jak w chwilach grozy wojennej szukał pomocy u Niebios Królowej, tak dziś, doznawszy u Niej i Syna Jej po wielekroć pomocy z wdzięcznością przypada do stóp Chrystusa-Króla z słowami miłości i dziękczynienia.



POMNIK SERCA JEZUSOWEGO
W POZNANIU
którego odsłonięcie odbędzie się
30. X. 1932.

Niech w dniu tym uroczystym, w którym, patrząc na nowowzniesiony pomnik, ujrzymy wyraz sprawiedliwości i Opatrzności Bożej, triumfującej nad przemocą i gwałtem naszych zaborców, popłyną z serc naszych słowa czci i hołdu dla Króla nad królami, dla Tego, który nie orężem zdobywa poddanych, ale miłością i przebaczaniem.

Niech Jego Królestwo: Regnum sanctitatis et gratiae, regnum iustitiae, amoris et pacis zapanuje trwale i niezłomnie w każdym z nas od najniższych począwszy. Niech ono obejmie całą naszą drogą Ojczyznę — całe Państwo nasze, wolne i wielkie — niech nigdy temu Władcy — Królowi miłości i pokoju nie przeciwstawi się zgrzyt zła i niewiary — niech On, który dał nam wolność, da nam i ten dar nad dary, o który prosił wieszcz nasz natchniony: dar dobrej woli, byśmy dzięki niemu z dniem każdym w dobrem wzrastali i stawali się coraz godniejszymi synami odrodzonej, katolickiej Polski.

Z NOWOCZESNEJ SZTUKI RELIGIJNEJ



Matka Boska wśród Aniołów. Rzeźba ołtarzowa dłuta Hukana w kościele Serca Jezusowego w Krakowie.

TWÓRCZA WARTOŚĆ POWIEŚCI WEYSSENHOFFA

(Zmarłemu Twórcy Sprawy Dołęgi w pamięci).

Szczęście mię spotkało... że mi Pan Bóg dał duszę
I że duszą tą smucić i radować się muszę.
Bo się muszę radować, że są kwiaty i drzewa,
A na drzewach owoce i to ptactwo co śpiewa.
Bo się muszę radować, że są szumy i wiatry,
Pola, rzeki, Pomorze, Białowieża i Tatry.
Lecz i smucić się muszę, czując rosę u powiek,
Że jest boleść na ziemi, że na ziemi jest człowiek.
Człowiek, co cierpi we dnie i rozpacza po nocy
I boleje, łzy leje i wygląda pomocy.
Więc nie mogę do niego z duszą, z sercem nie przybiec
Bo mnie szczęście spotkało... *(Staff)*

Wielka to zdolność umieć pełną piersią wchłaniać w siebie szczęście, które nas otacza, radować się Bożem życiem, które wokół nas pulsuje, a przytem nie zamykać egoistycznie oczu na ból i cierpienie, co mroczy serca bliźnich, ale iść do nich ze swą pogodą, spokojem i rozpraszać smętek, który gasi siły twórcze. Tę zdolność miał w sobie Weyssenhoff, niedawno zmarły twórca „Unji", „Gromady", „Sprawy Dołęgi", „Puszczy" i innych dzieł, któremi podtrzymywał wielką tradycję naszej powieści, co laur nagrody światowej zyskała w osobie Sienkiewicza.

Szlachetny optymizm, który rodzi się z wiary przemożnej w święte wielkie ideały i wie, że jedyną wartością w walce życiowej jest iść ku wyżynom, z przekonaniem niezłomnem o triumfie, widnieje z każdej niemal karty tworów Weyssenhoffa.

Zdawał sobie sprawę z tego sam twórca „Puszczy", który w swym „Pamiętniku literackim" tę właśnie cechę swego charakteru i swych dzieł wymownie podkreślił.

I tak jest istotnie — optymistą był Weyssenhoff nie dlatego, jakoby zła, ułomności ludzkich, biedy, czy przeróżnych trudności życiowych nie dostrzegał, ale dlatego, że rozumiał, iż przez trud i pokonywanie przeciwności nabywa się mocy, co uszlachetnia człowieka i że ofiara, złożona z osobistego szczęścia jednostki, buduje szczęście ogółu i pomnaża skarbiec duchowy „gromady".

A więc ofiara daje szczęście, — prawdziwe zadowolenie na tym jedynie najtrwalszym fundamencie wspierać się może — oto myśl, która niby nić złota snuje się poprzez karty zmarłego powieściopisarza.

Dołęga nie dla własnego żyje szczęścia — zwalcza w sobie pragnienie osobistej wygody; wychowany przez matkę „ultra-realnie", tłumi w sobie romantyczne porywy serca, „wstydzi się dla siebie szczęścia zmysłowego, czy estetycznego". Myśl jego, czyn i wysiłki życia do ogólnego dobra zmierzają — niech dobro powszechne święci triumfy. Wzmożenie dobrobytu narodu i społeczeństwa — oto idea przewodnia życia młodego inżyniera w pracy nad planem bitych dróg, celem ekonomicznego podniesienia kraju. „Kiedy wszystkim źle, dlaczego mnie ma być dobrze" — snują się refleksje przez duszę bohatera — wszak „dążenie do osobistej rozkoszy jest wsteczne w stosunku do troski o publiczne dobro".

Pracuje więc Dołęga, zapominając o sobie, a gdy plan życia jego i żmudne wysiłki idą w niwecz z powodu ospalstwa i niezrozumienia sprawy przez zamkniętą w sobie i niezdolną do twórczego czynu arystokrację, gdy nadto ze strony umiłowanej Halszki spotyka go zawód, nie łamie się życiowo, choć się ugina na chwilę pod przemocą bolesnych przeżyć. — Podnosi się po chorobie do dalszej pracy, ramiona prężą się znowu do czynu, bo nie zgasł ideał, choć chwilowo uległo niemocą złamane ciało. A kiedy wkońcu Halszka chce mu zapewnić szczęście drogą własnej ofiary, on, rozumiejąc,

że swojem szczęściem zabiłby szczęście tej istoty przywykłej do życia łatwego i bez troski, odrzuca jej propozycję. Łamie się w nim dusza, ale czyni tę ofiarę ze świadomością, że „kochać nie znaczy używać, ale poświęcać siebie i cierpieć dla umiłowania swego“.

Bratnią w tym względzie duszą jest mu Rykoń, bohater „Gromady“. — Kochając środowisko, wśród którego żyje i pracuje, poświęca dlań swe wysiłki i myśl o osobistem szczęściu. Broni się przed miłością Magdy, którą kocha, broni się stanowczo, bezwzględnie, „bo kiedy człowiek sam sobie czego zakaże, najtrwalszy to zakaz jest“. Powołaniem jego jest prowadzić ku światłu i dobru gromadę, za którą myśli, działa i poświęca się. Z tego poświęcenia moc w nim rośnie, hartuje się wewnętrznie, gotów na wszelkie trudności i przeciwności.

Ostatecznie i szczęście, którego nie szukał, przypada mu w udziale, Magda, jako kochająca go żona, pójdzie z nim razem przez życie, by wspólnie pracować dla swego otoczenia.

Zarówno więc w tej, jak i w innych powieściach porusza autor problem stosunku szczęścia jednostki do dobra i szczęścia ogółu. Niema w rozwiązaniu tego zagadnienia pesymizmu, którym tchną dzieła Żeromskiego, Dołęga czy Rykoń, rezygnując ze szczęścia osobistego, nie łamią się na zawsze, a co ważniejsza nie druzgocą losu i życia swych bliźnich jak n. p .Judym, co poświęca szczęście Joasi, lub dr. Piotr, który bolesną ranę ojcu swemu zadaje, poczuwając się do obowiązku spłacenia „przeklętego długu“, który na życiu jego zaciążył.

Drogą ofiary dążą szczytni szermierze idei: bohaterowie Weyssenhoffa i Żeromskiego — ale, podczas gdy autor „Ludzi bezdomnych“ przedewszystkiem uwypukla mękę i łamanie się wewnętrzne człowieka, co o sobie zapomniał, Weyssenhoff przepaja swe myśli optymizmem, opierając się na przekonaniu, że na niwie ofiary rośnie kwiat szczęścia. Jak w przyrodzie tak i w życiu ludzkiem bywają trudne przesilenia, ale słońce, dobro, szczęście ostatecznie zwycięża.

Zakończenie „Gromady“: obraz zimy niespodziewanej w maju, daje autorowi sposobność do podkreślenia tej mocy dobra, co prędzej czy później zwycięży przeciwności. „Mimo klęsk i zawiei nic nie wstrzyma ziemi od wydania kwiatu i plonu“ — a w świecie duchowym „moc serc zwycięża zło i podstęp“.

I autor wierzy w tę „moc serca ludzkiego“ — która może nieraz się kryje pod niepokaźną formą, ale jest, żyje i działa. Renia, bohaterka Puszczy, zdolna do ofiary nawet z miłości swej dla Kotowicza na rzecz swej starszej siostry, Renia, której „cnota tak prosta i wesoła, jest radykalnie skuteczną do zadowolenia siebie i bliźnich“, dobry pan Justyn Sas, którego choroba nie pozbawiła wesela życia — ksiądz Wyrwicz z „Unji“. żyjący wiarą w moc i zwycięstwo miłości — wreszcie przeróżne typy „starych sług“, doświadczonych myśliwych z Morozem na czele, oto galerja postaci, uosobiających optymizm i pogodę życiową — ludzi, którzy umieją dobrocią i poczciwą serdecznością rozjaśnić życie innym i wnosić w ich serca jasność spokoju i szczęścia.

Jednym z czynników, co mocą życiodajną krzepi człowieka, jest obcowanie z przyrodą. Jej piękno, praca na roli, zbliżenie serca ludzkiego do macierzy — ziemi uszlachetnia człowieka, rozszerza jego duszę, uczy kochać i wytrwale stawiać czoło trudnościom.

Weyssenhoff patrzy na przyrodę ze szczególną miłością — zachwyca go jej bujność, czaruje pełnia życia i radości. Puszcza, życie lasu, jego odgłosy, a nawet cisza, niemartwa dla subtelnego ucha starego myśliwca, który żyć umie życiem lasu i jego poezją prostą a głęboką, jest źródłem

natchnień dla naszego autora. Moroz, wierny sługa Turowicz, umierający w księżycową noc z wizją, że dusza jego grać będzie w ciele głuszca, jest jakby symbolem zżycia się człowieka z przyrodą i utożsamienia się z nią. — Czar i poezja prostej, naiwnej duszy zespoliły się tu, jak nigdzie, w sposób przepiękny z umiłowaniem ojczystych borów naszej polskiej ziemi.

Praca na roli wywiera urok przemożny na zbolałą duszę Kotowicza — leczy go — ziarno rzucane w łono ojczystej gleby budzi twórczą moc w duszy, co zdawała się być nieczułą na proste a serdeczne umiłowania. Zmęczony sybaryta miejski odradza się w zetknięciu z ojcowizną, niby syn marnotrawny, co dom ojcowski odnalazł wraz z sercem kochającem ojca i tkliwą miłością przebaczającej matki.

Kto umie wślad za bohaterem „Puszczy“ pokochać ziemię, ulec urokowi jej piękna i zrozumieniu pracy dla niej, kto wierzy, jak ks. Wyrwicz, że trzeba „spiskować w Chrystusie, doskonalić się, świecić przykładem, pociągać ku sobie bliźnich wszelkiego pochodzenia i na umiłowaniu budować gmach przyszłości“, kto razem z Renią Oleszanką potrafi się zdobyć w chwilach trudnych na przekonanie, że „Bóg jest z nami“ — kto idzie przez życie w imię obowiązkowości i ideałów, „uparty w dobrem a złu niepodległy“ — ten zrozumiał twórczą moc optymizmu, jego życiodajną siłę, która nigdy niczego nie spycha w dół, ale ku górze podnosi i, mimo trudności, przemienia piękne myśli w boży, owocny czyn.

M. Al.

GUSTAW MORCINEK

ŁASKA PUSTECKIEGO

(Fragment z cyklu z ziemi Śląskiej).

Gustlik zaparł się piętami w sypki, drobny żwir, przechylił mocno wprzód, nogi wyprężył ostatnim wysiłkiem i popchnął. Taczki, naładowane kamieniem, ruszyły z miejsca, wtoczyły ciężko na deskę i pobiegły. Dowiózł je na brzeg usypiska. Jeszcze jeden wysiłek. Ujął teraz prawą noszę w obie dłonie, a lewą nacisnął nogą do dołu i przewrócił. Kamienie potoczyły się z wywróconych taczek i z szelestem zsunęły z nasypu do wody. Postawił je. Nogi dygotały z wysiłku a w uszach wyczuwał mocne tętnienie krwi. Otarł spocone czoło brudnym rękawem i siadł ciężko obok taczek. Wyprężył nogi z radością a plecy oparł o taczki.

Lampa tkwiła w stemplu. Drobny, żółtawy płomyk wisiał nieruchomo w poszarzanem szkle lampy. Podobny w swej nieruchomości do niezgłębionej ciszy, co w starym ganku leżała, sięgał swym blaskiem na niedaleki rzut kamykiem. Na czarnych ścianach ganku skrzyły się białe, rzadkie puszyste mchy, podobne do szronu. Szedł od nich słodkawy, mdły zapach. Ciche śpiące światło otulało je żółtem lśnieniem. W głębi czeluści stał mrok stokrotnie czarniejszy od bezgwiezdnej nocy.

Utonęły w nim gustlikowe oczy. Dotykały twardo tej nieogarnionej, milczącej, miękkiej ściany ćmy, co na granicy światła przystanęła i czekała. Przyczaiła się i czekała, skoro znów wpełźnie w swe legowisko, skąd ją światło wygnało.

Gustlik wyczuwał natężonym słuchem, jak żywa krew przelewa się z cichym, metalicznym chrzęstem w jego żyłach, szumi rytmicznie, leciuchno dzwoni. Tak, naprawdę dzwoni... Wyraźnie słyszał ów dziwny, przeciągły, nieprzerwany wysoki rytm dzwonu, falujący leciusinko, kieby szybki, drobny oddech śpiącego dziecka.

Chwilami cisza przygasała. Wtedy dochodził Gustlika daleki, daleki pogłos ciężkich uderzeń, sączący się poprzez warstwy calizny węglowej i kamienia. Pogłos ów szedł od niego ze wszystkich stron; i ze stropu i ze ścian i z tej wody, co się śklniła pod usypiskiem, słowem zewsząd. Ktoś gdzieś perkiem klin wbija w ścianę węglową. Pragnie ją odłupać. Ale gdzie to się dzieje? Czy ponad nim, w wyższym pokładzie, czy też pod nim, Bóg wie jak głęboko, któż to może wiedzieć?

Potem znów cisza wracała. Ogarniała go doostatka tak, że głos, który przed chwilą niedawną był przy nim, wydawał mu się sennym majakiem.

Czasami znów przyleciało skądsiś jakby na palcach ciche westchnienie, jakiś szelest nieokreślony, leciuchne puknięcie... Zanim doszło do jego świadomości, wyolbrzymiało się w ciszy, płoszyło ją gwałtownie na krótką miareczkę czasu.

Gustlik oswoił się już z temi szelestami i pogłoskami, idącemi do człowieka z nieprzejrzanego mroku. Wiedział, że to albo dalekie echa pracy, przesączające się przez pokłady węgla i kamienia, lub też drobne pękania u łuszczenia się drobinek kamienia, odpadającego od ścian i od stropu. Zapatrzony teraz w ciemnię starego, opuszczonego ganku, łowił obojętnem uchem tamte wszystkie szmery. Zmęczenie odchodziło od niego, dobrze mu było.

Od tygodnia pracował w tej stronie kopalni. Były to stare „roboty", już dawno opuszczone. Kilku górnikom polecono tam jedynie utrzymywać stare ganki w porządku, by umożliwić przewietrzenie tej właśnie części kopalni. Nie pracowano już w niej od czasów ostatniej eksplozji w roku 1894. Obecnie przekopano wąski chodniczek, którym wywożono rumowisko i zasypywano nim stary ganek do połowy wysokości. Był już bowiem i tak niepotrzebny. Według opowiadań starych górników, tym gankiem właśnie mieli uciekać górnicy ze szybu „Jana" na szyb „Franciszki", gdy w czasie wybuchu gazów i pożaru spostrzegli, że mają odcięty odwrót pod szyb. Nie wszyscy jednak uszli. Najwięcej ofiar w tym właśnie ganku pozostało. A gdy po kilku tygodniach odważono się zjechać do głębi, znaleziono ich zwłoki zwęglone a ściany ganku opalone. Znaleziono powyrywane szyny z podkładami, zwinięte w pierścienie, wszystkie kapy i stemple zwalone w jednym kierunku i nawpół zwęglone, a miejscami, w załomach ganków, zgniecione wozy żelazne. Tu była główna droga wybuchu, biegnącego piorunem za wybladłym z przerażenia górnikiem. O strasznej jego mocy świadczyły właśnie te pierścienie z powyrywanych szyn i te wozy spłaszczone, rzucone niepojętą mocą o ściany ganku.

Już temu tyle lat minęło. Jedynie starsi górnicy pamiętali tę straszną noc podziemną. I ich wspomnienia wyblakły już przez tak długi przeciąg czasu, przechodziły powoli w zapomnienie, ginęły w niepamięci. Czasem któryś tam sobie coś przypomniał i wtedy opowiadał drugim, młodszym, a tym krew w żyłach zastygała... Lub gdy przyszedł na to dawne cmentarzysko, przypominał sobie wszystko. Dziś już temu tyle lat... Ofiarom sprawiono uroczysty pogrzeb, pogrzebano ich we wspólnym grobie na cmentarzu karwińskim, a reszta, nie mająca być już nigdy odgrzebana, spoczywała pod zwaliskami „filorów", na wiekuiste odpocznienie. Tyle im tylko uczyniono, że sprowadzono księdza w to miejsce, który wyszeptał pacierze, po-

kropił wodą święconą i powrócił na świat boży.

Dziś już tyle lat temu. Gustlik nie wiedział o tem wszystkiem. Celowo o tem mu nie mówiono, boć inaczej nie byłby tam pracował. Domyśliwał się jeno czegoś strasznego, które się tu może kiedyś przed nim działo. Mówiły mu o tem nagryzione ogniem ściany węgla oraz ten dziwny, ludzkim rozumem niepojęty urok starego cmentarzyska, wywołujący czasem nieuchwytny strach i przerażenie.

Nieraz doznawał podobnego uczucia i w innych częściach kopalni, gdy samotny biegł truchcikiem popod niskim stropem a wokoluteńko nie było ani jednej żywej duszy. Jeno to światełko milczące, chybocące się w szkiełku lampy. Zczasem oswoił się z tem wszystkiem. Gdy chwilami lęk szedł za nim i serce pożerał, to żegnał się nabożnie raz i drugi. A wtedy wszystko znikało, jakby ręką odjął.

Lękał się jedynie Pusteckiego. Był to stary duch kopalniany, który błąkał się pod ziemią z czerwonem światłem. Miał on długą siwą brodę, podpierał się kilofem a chadzał w ubraniu dozorcy górniczego z aksamitnemi, zielonkowatemi wyłogami. Z pod surduta, z tyłu, zwisał mu na spodnie półokrągły płat skóry, jaki zwykli nosić starzy górnicy, pracujący z powodu niskiego stropu w pozycji siedzącej.

Tak go opisywali ci, co już połowę życia przeżyli pod ziemią.

Dobry miał to być duch, tylko nie śmiano go niczem rozgniewać. Czasem to i pomógł niejednemu kopaczowi, gdy się mozolił nad odwaleniem ściany węgla. Podchodził wtedy z drugiej strony, przez caliznę, trzy razy zapukał na znak, żeby się górnik usunął a potem leciuchno popchnął swym kilofem oporną ścianę. Zwalała się wtedy w takiej masie, że gdy ją uradowany górnik potłukł na kawałki, miał na całą szychtę poddostatkiem węgla. Dobry to był duch, bardzo dobry.

Innym znów razem pomagał wozaczowi nałożyć wykolejony wózek z węglem czy z kamieniem na szyny. Należało mu wtedy tylko podziękować, powiedzieć „Pónbóczek zapłać, panie Pustecki“, i wszystko było dobrze. Nie lubiał się pokazywać i przebywać tam, gdzie było większe mrowisko ludzi. Przekładał on nad ich towaszystwo stare, zapomniane „roboty“, odległe od ludzi, gdzie miał spokój i nikt go nie gniewał. A jeżeli czasem przeszedł pod szybem i natychmiast zniknął gdzieś w ścianie, ogarniała wtedy górników obawa. Żegnali się wtedy nabożnie i prosili w duchu o Boskie zmiłowanie, gdyż znak to był, że znowu jakieś nieszczęście nawiedzi kopalnię. Wtedy wszyscy wiedzieli, że go znowu ktoś rozgniewał, że ktoś gwizdał na głos w kopalni lub mu też „pieronami“ urągał.

Gustlik wiedział o tem. To też nigdy nie odważyłby się głośno zagwizdnąć albo też zbyt mocno zapieronować, gdy mu się w pracy nie darzyło. A gdy miał czas i zmęczenie kleiło mu powieki, opierał się jak mógł, żeby tylko nie usnąć. Bo wtedy on przychodził i dusił człowieka...

Tak opowiadali starzy górnicy. A im przecież trzeba było wierzyć, boć już dużo przeżyli i doświadczyli. Gustlik lękał się i truchlał na myśl, że może go kiedyś napotkać, gdy samotny znajdzie się w jakimś odległym ganku. Równocześnie pocieszał się myślą, żeć zawsze pilnie przestrzegał wszystkiego, by go nie rozgniewać, to nic złego nie mógłby mu Pustecki uczynić. Powie mu pięknie: „Szczęść Boże, Panie Pustecki!“ i nic. On to lubi, gdy go tak ktoś pozdrowi. Wtedy łaskawie odpowie i zapyta się, gdzie pracuje, w którym przodku i zniknie w ścianie.

Dokończenie nastąpi.



M. Kłosowski. Jesień

Z jesiennych refleksyj...

Czy śmierć? Martwota i koniec
Zbyt krótkich idzie żywotów?
Mgła zimna drzewa spowiła —
Lęk śliski wylazł z pod płotów...

We wnętrze samo, w krew, w kości
Wiekowych smreków i sosen
Śmiertelne drżenie się wżarło
Tak inne od ciepła wiosen...

Lęk targnął sercem olbrzymów,
Szron ciało zimnym skrył potem —
Śmierć pierwszą dań już wydarła
Barwną purpurą i złotem

Hej! ratuj!... kto żyw! Ratunku!
Na trwogę dzwon niechaj bije!
W straszliwych splotach konania
Mróz ściska — Ratuj — kto żyje!

Bo chociaż w skwary i burze
Bywało — serce nam krwawi,
Oglądać świata tamtego
Niezbyt my jeszcze ciekawi.

Perły, na nici pajęcze
Nizane przez nockę całą,
Pociechą w gasnącem życiu
Dziś dla nas są nazbyt małą.

Ratuj! wołanie daremne
Odbiły twarde kamienie —
Coś w sercu drzew nieodparcie
Wypełnia swe przeznaczenie.
. . . .

O drzewa, drzewa niemądre,
Acz doświadczone i stare.
Czyliście w cud zmartwychwstania
Bezcenną straciły wiarę?

Czyście dziś pojąć niezdolne —
Patrzące w dal krótkim wzrokiem,
Że wnętrze wasze ta zima
Nowym zasili znów sokiem?

Że odrodzenie jest w śmierci
I czyn w pozornym bezczynie
— I że cud wielki istnienia
Trwający w Stwórcy — nie ginie!

I. M.

BYŁO CIEMNO I MOGLI BYĆ ZBÓJCY

— Kiedy wróciłeś, Bąk? — zapytała Zosia.

— Wczoraj. Oj, jak mi się nie chciało... Pyszne miałem wakacje.

— Zdarzyło ci się coś ciekawego? Jakaś przygoda?

— Daj spokój, nie ciągnij go za język, bo zaraz posłyszysz z piętnaście historyj „z tysiąca i jednej nocy" — drwił Marjan.

— Kiedy właśnie chcę. Co ci to szkodzi? No, Bąk, jak było z przygodami?

— Ojej, ile ich było. Mogę ci opowiedzieć strasznie dużo. Ale o czem byś chciała?

— Wymień miejsce i okoliczności, to wybiorę.

Noc, dzień, księżyc, ciemności, duchy, zbóje, zagrożone życie, cudowne ocalenie...

— Dosyć, dosyć. Czekaj. Niech będą zbóje — w nocy.

— No, dobrze.

Jak zwykle w takich okolicznościach, przegarnął palcami zmierzwione włosy, wielkie okulary schował do kieszeni i zaczął.

— Jednej nocy nie mogłem jakoś spać. Stanąłem w oknie, gwiazdy świeciły cudnie, było takie świeże, łagodne powietrze... Nie chciało mi się wracać do pokoju, ubrałem się, wziąłem laskę i wyszedłem na świat boży. Minąłem ogród i potem dalej wędrowałem drogą polną, aż pod las. Tam stanąłem na chwilę i zastanawiałem się, czy iść dalej, czy się wrócić.

— Aha. Oczywiście bałeś się.

— Też coś. Właśnie, że się nie bałem i poszedłem prosto dalej. — Strasznie było ciemno. Posuwałem się pomalutku i nogami tylko wyczuwałem ścieżkę przed sobą. Czasem coś trzasnęło koło mnie, czasem poruszyło się coś niedaleko, a od czasu do czasu jęknęła sowa, żałośnie, przejmująco.

— To tak dla nastroju musiało być, co? zapytał Marjan.

— Słuchaj — huknął Bąk — jak ja cię nastroję... — i pogroził mu energicznie.

Zosia złapała go za rękaw.

— Nic sobie z niego nie rób i opowiadaj dalej. On się na tem nie rozumie.

— Co? ja na nastrojach się nie rozumiem — zaperzył się Marjan. — A żebyście wiedzieli... czekajcie... zgaszę lampę, żeby był nastrój. Widzicie.

— No dobrze — zgodziła się Zosia — niech będzie. Ale teraz Bąk, dawaj już tych zbójów.

W ciemności ciągnął Bąk dalej, głosem niskim, nastrojowym.

— Długo tak szedłem i już miałem zamiar się wrócić, gdy z ciemności i ciszy usłyszałem jakieś dziwne odgłosy. Stanąłem i wstrzymałem oddech. — Z daleka, za krzakami ktoś się szamotał. Tak. Trzaskały gałęzie, słychać było przyduszone sapanie. Nagle coś ciężkiego zwaliło się na ziemię, aż zadudniło. Zaraz potem usłyszałem jakieś jęki i stękania. Serce biło mi gwałtownie. Naturalnie, ktoś się szamoce, ktoś na kogoś napadł i morduje. Dusi z pewnością, bo te jęki takie chrapliwe. W pierwszej chwili strach mię obleciał i chciałem uciekać, co sił w nogach. Ale zaraz pomyślałem, że tu chodzi o życie ludzkie. Mogę uratować człowieka. Ale nie mam broni. Aha, miałem laskę dosyć mocną. Gdy łupnę nią napastnika w głowę, mogę go przynajmniej ogłuszyć. Dobre i to.

Więc naprzód starałem się zorjentować, gdzie jestem. Było przecież zupełnie ciemno.

Godzinę drogi od brzegu lasu była polana, na niej szałas. Nocą, pastuchy paśli tam woły.

Jęki, które na chwilę ucichły, zno-

wu się powtórzyły. Głośniejsze i bardziej rozpaczliwe. Już się nie namyślałem. Pędziłem w ciemności na oślep. Nagle drzewa zaczęły rzednąć i ukazało się granatowe niebo wyiskrzone gwiazdami. — Tak. Byłem na polanie.

Z biciem serca zauważyłem jakieś niewyraźne cienie, poruszające się w trawie. Ach! to tam duszono kogoś. Postacie leżały na ziemi i od czasu do czasu widziałem gwałtowniejszy ruch. Potem spadały na ziemię i znowu od zywał się ów straszny odgłos stłumionego jęku kogoś duszonego za gardło. Masa walczących ciał była tak duża, iż mogłem przypuszczać, że napastników jest dwóch. Pomyślałem, że pastuchy z szałasu mogliby mi pomóc obronić napadniętego. Więc szybko a cicho posuwałem się w stronę majaczącego szałasu.

A może to pastusi zostali napadnięci? — albo oni napadli kogoś zbłąkanego? — przemknęło mi przez myśl... W każdym razie trzeba działać czemprędzej.

Umilkł Bąk i przełknął ślinę. Zaschło mu w gardle.

— No?? szepnął Marjan niecierpliwie.

— Cicho wsunąłem się do szałasu. Nic nie mogłem dostrzec. Ale z ciemności dochodziło sapanie śpiących.

Byli — chwała Bogu. Namacałem bosą nogę i szarpnąłem. Nic. Szarpnąłem mocniej. Spał jak zabity. Zacząłem szarpać go, szczypać. Zbudził się nareszcie. Rozpaczliwie szeptałem mu, że tam obok mordują kogoś, duszą i że prędko trzeba iść na ratunek. Nie bardzo wiedział z początku o co chodzi. Nareszcie zaświecił mi zapałkę prosto w twarz. Znał mię z widzenia. Zrozumiał i uwierzył. Zaczął nadsłuchiwać. Zbudził szybko drugiego chłopa, który spał lżej. Zaświecili latarnię. Nie chciałem tego. Ale pastuch wytłumaczył mi, że trzeba widzieć kogo się bije, a kogo się broni. Zabrali jeszcze mocne drągi i pędem pobiegliśmy w stronę owych jęków.

Pastuchy dobiegli pierwsi. Usłyszałem krzyk: „O rety!" i zobaczyłem w świetle latarni, jak pochylają się obaj nad jakąś masą ciemną, stękającą i usiłują wydźwigać ją z dość znacznego wgłębienia. Gdy dobiegłem do nich i zobaczyłem z blizka, krzyknąłem ze zdziwienia i rozczarowania. Po co tyle strachu, po co tyle bohaterskich zamiarów i chęci poświęcenia?

— Ale może powiesz nareszcie co to było — zawołał Marjan.

— Co było? Poprostu jeden z wołów wywrócił się do rowu i nie mógł wstać. Dlatego tak stękał.

— Ech, a ja myślałam, że to będą naprawdę zbóje — rzekła Zosia zawiedzionym głosem.

— No i ja tak z początku myślałem. A to tymczasem głupi wół. Co robić — westchnął Bąk.

— Zaświeć lampę — powiedziała Zosia.

Marja Walter-Eroneck.



WIADOMOŚCI MISYJNE

2 PAŹDZIERNIK 1932



Fryburg.

KONGRES MISYJNY W FRYBURGU

Głęboki, żywy prąd współczesnego apostolstwa misyjnego coraz szybciej przenika wykształcone warstwy społeczeństwa.

Nikogo już dziś nie dziwi naukowe rozpatrywanie zagadnień misyjnych.

Dla badań misjologicznych powstają osobne instytuty i katedry uniwersyteckie. Rośnie znaczenie do niedawna jeszcze nieznanej nauki — misjologji.

Studja misjologiczne są cenną, nieledwie niezbędną podstawą teoretyczną pracy misjonarzy, każą im unikać błędów przeszłości i torują równocześnie nowe drogi. Powoli idea misyjna pociąga ku sobie i zapala coraz więcej światłych umysłów. Niezmiernie ważnym czynnikiem rozwoju tego ruchu w środowisku akademickiem stają się doroczne międzynarodowe zjazdy.

Ósmy z rzędu międzynarodowy Akademicki Kongres Misyjny odbył się w sierpniu b. r. w Fryburgu szwajcarskim, przy współudziale najwybitniejszych osobistości świata misjologicznego, oraz licznych delegacyj studenckich 15 różnych narodowości.

Nie brakło i delegatów polskich; swą liczebnością świadczyli oni dobitnie o żywotności naszych Akademickich Kół Misyjnych.

W przedziwnie malowniczem otoczeniu miasta Fryburga i okolicy spędzili uczestnicy kongresu kilka niezapomnianych dni.

Gorące, drgające bólem przemówienia wytrawnych pracowników misyjnych stawiały przed oczy ciężką odpowiedzialność katolików wobec nikłych i powolnych postępów

apostolskiego dzieła, rozszerzały serce ofiarną miłością, która zmysłom i pragnieniom kazała wybiegać daleko poza srebrne pasma alpejskich szczytów i objąć bezkresne horyzonty.

Odczyty naukowe odsłaniały głębie i wszechświatowe znaczenie problemów misyjnych.

Pod wpływem dyskusji i sprawozdań z ruchu misyjnego wśród młodzieży wywiązywała się swobodna wymiana myśli.

Wśród kleru z radością wyróżnić można było tubylczych duchownych z krajów misyjnych

Dziwne i nieznane wzruszenie ogarnęło wszystkich obecnych, gdy podczas rannej Ofiary klękli uczestnicy zjazdu wspólnie, by przyjąć Ciało Chrystusowe z rąk czarnego kapłana.

Uroczysta ta i podniosła chwila w pełni dała odczuć charakter powszechności i mocy Kościoła św., który więzią miłości potrafi skuć ludzi odmiennej rasy, zespolić wszystkie narody i w najodleglejszych zakątkach ziemi bijące serca nastroić do zgodnego chóru ku czci Stwórcy.

Z dusz zaś wytryska samorzutnie żarliwa prośba o przyspieszenie tego radosnego świątecznego dnia, w którym cała Afryka w czarnych swych dłoniach wzniesie nad ołtarzami białą, zbawczą hostję.

Wieczorna pielgrzymka do czczonej w okolicy statuy Najśw. Marji P. znajdującej się w górach otaczających miasto, była uwieńczeniem dni kongresowych, zostawiając niezatarte wspomnienia.

Krętą stromą ścieżkę rozświetlał jedynie nikły płomień świec niesionych w ręku, a ciszę nocną przerywały dźwięki odmawianego w różnych językach różańca.

Z ciemności wyłoniło się niebawem płonące wnętrze górskiego kościółka, ukazujące z oddali cel pielgrzymki.

Nagła powódź światła, w której tonął ołtarz i królująca w górze uśmiechnięta twarz Madonny ogarnęła przybywających z gęstego mroku pielgrzymów; tak iż przejęte tęsknotą i niepokojem apostolskie serca niemal spontaniczne zanurzyły się w kornej błagalnej modlitwie rzucając pytanie: »Kiedyż wreszcie lud chodzący w ciemnościach ujrzy światło wielkie? Kiedyż duch ofiary i miłości rozpali dusze tych, którzy poznawszy Światłość i ukochawszy, blaski Jej nieść mają ciemnemu światu?... Kiedy?...

Jadwiga Popielówna.

FRANCISZKANKI MISJONARKI MARJI

To jedno z najmłodszych a bujnie rozwijających się zgromadzeń zakonnych, poświęconych misjom. Założycielką jego jest Helena de Chappotin de Neuville, ur. 21/V. 1839 r. w Nantes ze staroszlacheckiej, Bretońskiej rodziny. W 1864 r. wstąpiła do Stowarzyszenia Marji Wynagradzającej w Paryżu, mającego za zadanie uwielbianie Najśw. Sakramentu. Otrzymała tam imię Marji od Męki Pańskiej. Była jeszcze nowicjuszką, gdy wysłano ją do Indyj, do miasta Madura, potem do Tuticorin, gdzie nauczała dzieci. Wkrótce po złożeniu ślubów została przełożoną tego domu, a niebawem przełożoną Prowincjonalną w Trichinpolis. Dwanaście lat spędziła w Indjach zyskując »miłość chrześcijan, szacunek pogan, poważanie władz angielskich«.



dzanie więźniów, apteki dla ubogich, szpitale dla trędowatych.

Zgromadzenie Franciszkanek Misjonarek Marji według statystyki z 1927 r. liczyło 205 domów i 5000 zakonnic w Europie, Azji, Afryce i Ameryce. W Chinach, Indjach i w Afryce trafiają się liczne powołania zakonne wśród ludności miejscowej.

W 1877 r. z woli Ojca św. Piusa IX. założyła nowe zgromadzenie zakonne, oparte na regule sw. Franciszka, poświęcone wyłącznie misjom. Zadaniem Franciszkanek Misjonarek Marji w krajach misyjnych jest rozpowszechnianie nabożeństwa do Najśw. Sakrakramentu, »zamienianie się w modlitwę wytężoną, w żywe błaganie i przyprowadzanie do stóp Jezusa w Eucharystji nieoświeconych ofiar pogaństwa«. Wysyłając swe córki w różne strony świata M. Marja od Męki Pańskiej polecała im przedewszystkiem adorację Najśw. Sakramentu, która nie ma być »dodatkiem do pracy, lecz tej pracy ogniskiem i życiem«. Działalność Franciszkanek Misjonarek Marji jest bardzo rozległa. Żłóbki, sierocińce, szkoły katechizacji, szkoły gospodarcze, warsztaty rzemieślnicze, przytułki, odwie-



1 Szkoła Franciszkanek Misjonarek Marji w Tientsinie (Chiny).

2. Lekcja prywatna w ogrodzie.

3. Przyjazd Sióstr Franciszkanek Misjonarek Marji do szpitala trędowatych.



DZIEŃ MISYJNY



Ks. G. Fay ze Senegalu brał udział w Kongresie misyjnym we Fryburgu.

Dzień Misyjny, który w tym roku obchodzić będziemy 23 października ma być, w myśl odezwy ks. Arcybiskupa Salotti, Generalnego Prezydenta Pap. Dz. Rozkrz. Wiary, dniem modlitwy — propagandy, łączności i wspaniałomyślnej wielkoduszności. — Co ofiaruje się misjom — ofiaruje się Bogu. — Potrzeb jest wiele. Szerokie połacie terytorjów otwierają się dla krzewienia Ewangelji — trzeba stawiać kościoły, szkoły, przytułki dobroczynne, zaopatrywać na nowo misjonarzy, którzy padli ofiarą rabunku band zbójeckich czy bolszewickich. W zorganizowaniu dnia Misyjnego winni brać udział wszyscy katolicy — zwłaszcza zaś młodzież gimnazjalna i uniwersytecka, »której dusze otwarte są na wszystko co tchnie zapałem, jaki wiara św. wzbudzić potrafi«.

IDEALIŚCI

Przychodzi do mnie jakiś czarny, i przynosi kartkę: z zawiadomieniem, że nauczyciel murzyn ochrzcił starego człowieka przed śmiercią, dając mu na imię Wawrzyniec.

Niby obojętnie to czytam — a murzyn do mnie: „Ojcze, to jest bardzo ważne! Ojciec misjonarz mówił nam, że to bardzo ważne, i zrobiłem odpowiednią minę „ważności". — A ty skąd jesteś? — 40 mil stąd. — A przyszedłeś tylko z tą kartką? — Ja mam jeszcze interesa. — Kiedy teraz niema Ojca przełożonego, ja sam jestem. — A kiedy Ojciec Przełożony wróci? — Za tydzień. — To długo. Murzyn zaczyna mnie prosić czybym ja tego nie załatwił. — O co chodzi pytam? Teraz zaczyna się szkoła, a nie mam rysików, dzieci jest 36 w szkole, tabliczek brakuje mi 8, książek elementarzy 4, i t. d., wylicza całą litanję „pomocy szkolnych" skończywszy na kredzie i na kawałku gazety, z którejby mógł skręcić papierosa, by widzieli we wsi, że on ma papierosa z papieru! Z jaką gorliwością on przemawiał — a jak mi pomagał szukać, bo ja nie wiem, gdzie Ojciec Superjor chowa te rzeczy cenne — a jak się radował, gdy zobaczył, że jest i książka i tabliczka i kreda. Opakował to wszystko i wraca z temi skarbami „pan nauczyciel" 40 mil piechotą do swej szkoły...

Przecież to idealista jakiego szukać u nas w Polsce.

Rano inny nauczyciel przyjechał na rowerze — 50 mil po piasku, po... 30 rysików. Był niedawno — powiedziałem mu, że rysiki nadejdą za parę dni, bo jak rowerem jedzie to nikt z czarnych go nie nakarmi, bo mówią: masz rower toś bogaty...

Naprawdę, czy tu nie lepsi ludzie.

Kasisi—Rhodesia. *X. Konopka T. J.*

IGNIS.

UŚMIECH ŻYCIA

(Ciąg dalszy).

Pewnego popołudnia zmordowana bieganiną po mieście w sprawie przygotowań do wieczorku maturalnego rozsiadłam się wygodnie w saloniku rodziców, mając zamiar ucięcia drzemki.

Już zaczęłam się pogrążać w błogi półsen, gdy nagle silny dzwonek u drzwi wejściowych, energiczne kroki i... Romek na progu!

Wszystka krew zbiegła mi do serca, w głowie zrobiła się pustka, w uszach huczało!

Musiałam bardzo się zmienić, bo Romek z wyrazem niewysłowionej troskliwości w oczach podbiegł do mnie, chwytając za obie ręce, — Lenka, kociątko najmilsze, maleńka! co tobie? wołał, — Czy się przestraszyłaś, czy tak ucieszyłaś, bo oczęta masz spłoszone, jak u dzikiej sarenki — co ci? A jak wyrosłaś, jaka jesteś śliczna! Zostawiłem dziecko, a znajduję — w całem tego słowa znaczeniu — pannę, i to jaką jeszcze! Głowę można stracić! Powiedz co, maleńka, odezwij się, bom gotów pomyśleć, żeś ze mnie nierada! — wołał naprawdę przerażony.

Dopiero te słowa jasno dotarły do mojej głowy, razem z falą radości, co mi niemal rozsadzała serce.

Romku — jedyny, najdroższy, przebacz! — wołałam bez związku. Patrzyłam na niego zaledwie ośmielając się wierzyć, że to rzeczywistość.

Zaledwie śmiem wierzyć, że to ty jesteś, Romku, wołałam, wracając powoli do przytomności — taka niespodzianka radosna!

— A nie chciałaś mnie pocałować na wstępie, Lenuś, — co to znaczyło? Musiałam się mocno zaczerwienić, bo poczułam żar krwi, dopływającej do twarzy. Przymknęłam oczy, ale widziałam, że Romek patrzy na mnie wzrokiem, z którego można było cały ułożyć poemat. Było tam zdziwienie, był niepokój, ale ponad wszystko bolesne rozczarowanie, odczucie jakby doznanej krzywdy. Zabolał mnie ten wzrok, więc odwróciłam oczy. Nie mogąc mu wyjaśnić dziwnego zachowania przy powitaniu, zaczęłam opowiadać różne szczegóły z codziennego życia, ale Romek był chmurny, coś zgasiło jego wesołość. Ja zaś mówiłam dużo i z ożywieniem.

— Jakże się rodzice ucieszą! Są na wizycie u państwa Rojewskich... wrócą pewnie niedługo.

— Jeżeli się tak ucieszą, jak pewna osóbka, to nie pozostaje mi nic lepszego, jak wracać najbliższym pociągiem...

— Rom! powiedziałam z akcentem takiego bólu, że to go widocznie rozbroiło, bo powoli odzyskiwał humor.

— Powiedz mi wreszcie rzekłam, jaki to cudowny pomysł, dał ci natchnienie przyjazdu, wszak miałeś jeszcze rok studjów, spodziewaliśmy się ciebie, kochany, dopiero za rok, który mi się wydawał długim jak wieczność do przeżycia.

— Czy aż tak istotnie? — W głosie Romka czuć było maleńką nutę złośliwej przekory. — Pytasz o natchnienie? — było ono bardzo nieskomplikowane: oto pewna bardzo mi droga osóbka miała otrzymać maturę — czyż mogłem wytrzymać, aby nie wziąć udziału w takiej rodzinnej uroczystości? Spakowałem więc kawalerskie manatki — co nie zajęło mi więcej nad minutę czasu, i jazda w drogę!

— Rom! wyrwało mi się prosto z rozradowanego serca i nie mogąc się opanować, impulsywnie przytuliłam się do niego miękko, — a jemu głos się załamał ze wzruszenia, gdy mówił gorącym półszeptem. .

— Kociątko ukochane, maleńka, więc się nie zmieniłaś, nie przestałaś kochać swego dużego chłopca?

— Ja zmienić się? Ach, Romku, przecież ja jestem aż do niemożliwości wierna — śmiałam się uszczęśliwiona, że cień zniknął i stosunki były znów jak dawniej szczere i serdeczne.

— Ale słuchaj, Lenuś, czy ta przyjaciółka twoja, Zosia Święcka, o której tyle razy pisałaś, jest przystojną brunetką o ślicznych roześmianych oczach?

Uczułam w sercu coś obcego, — jakiś ból niezrozumiały.

— A skądże ci ona na myśl przyszła w tej chwili? — pytałam mocno zdziwiona.

— Skąd? — a czy ja wiem, skąd wogóle biorą się ładne panny na świecie — pewnie na utrapienie naszego nieszczęsnego rodu? Na kolei zauważyłem ładną panienkę, która zaczęła do mnie robić „oko", ale ja udawałem Greka, — choć widziałem, że tej kozie mocno się to nie podobało! W autobusie nagadała mi tyle impertynencyj o męskiej arogancji, że byłem zdecydowany powiedzieć pannie dobry „pater noster" i przedstawić się, ale autobus zatrzymał się i panna zniknęła jak kamfora... To musi być numer!

Śmiał się srebrzyście, a mnie zrobiło się smutno i dziwnie ciężko na sercu.

Wreszcie przyszli rodzice, kładąc koniec kłopotliwej atmosferze, jaka się wśród nas wytworzyła.

Radości było bez liku, zwłaszcza gdy Roman oznajmił, że może sobie zrobić dwumiesięczne wakacje, albo nawet mógłby już nie wracać zagranicę, przygotowywać się do egzaminu w domu, a tylko pojechać na ostateczne zdawanie. Tembardziej uśmiechał mu się ten projekt, że obiecywano mu w Warszawie doskonałą posadę — zastępcy na czas nieograniczony dyrektora jednej z pierwszorzędnych fabryk.

Byłam uszczęśliwiona. W perspektywie marzyły mi się cudne plany. Obecność Romka, tego dużego przemiłego chłopca, wydała mi się wprost niezasłużonem szczęściem.

Po kilku dniach Romek zaczął nalegać, abym wyjechała na tydzień do jednej z koleżanek, która już kilkakrotnie o to mnie prosiła.

Usprawiedliwiał swe naleganie tem, że byłam przemęczona po maturze... Tydzień spędzony poza domem zaliczyć mogę do najuciążliwszych w swem życiu. Doczekawszy się końca tej katorgi, wyjeżdżałam, pełna przeczuć radosnych. Na stacji oczekiwał mnie Romek i Zochna. Zauważyłam, że się zachowywali jak dwoje starych znajomych, co nie przeszkadzało, że kłócili się i sprzeczali o byle co.

— Dobrze, że wróciłaś, Leńko, bo już trudno wytrzymać bez Ciebie u was w domu. Miałam nieszczęście zajść tam kiedyś po stare zeszyty i poznałam tego niemożliwego pana Romka. Mówię ci — w domu — Sodoma i Gomora!... Rządzi się tam, jak szara gęś... Okropność! Wszystkich sterroryzował i każe siebie słuchać...

— Zacząwszy od pani, panno Zosieńko! Muszę przyznać, Lenko, że masz wybitne zdolności pedagogiczne skoro potrafiłaś okiełznać takie dzikie niesforne stworzonko jak tę swoją przyjaciółkę. Wprawdzie musiałem i ja do tego przyłożyć ręki teraz, — ale zato rezultaty — pierwsza klasa! Dziś panna Zochna sprawuje się jak trusiątko... niema gadania!

— Jeżeli pan sobie przypisuje rolę pogromcy i poskromiciela, to nie zazdroszczę talentu i mam go w mocnem podejrzeniu, bo objekt tych zainteresowań wcale nie objawia cech obłaskawienia, — sprzeczała się żywo energiczna dziewczyna.

A ja trochę jakby zawiedziona, stałam obojętnie obca tej szermierce słów.

Moja natura, przywykła do wykwintnych form, była trochę niemile zdziwiona bezceremonialnym tonem Zochny, ale postanowiłam opanować

się i chmurną twarzą nie mącić pogody pierwszych chwil powitania. Ze strony Romka było ono tak szczere i serdeczne, że rozproszyły się drobne cienie. Poza serdecznością było jeszcze w zachowaniu się jego coś, jakiś odcień nieuchwytny, który mnie intrygował.

Jak wiadomo, od kilku miesięcy przenieśliśmy się z Warszawy do willi za miastem. Jeszcze w czasach szkolnych Romek ubolewał nad tem, że nie mam oddzielnego pokoiku wyłącznie dla siebie, gdy on ma elegancko urządzony gabinet.

Umyślił sobie, że dzięki przeprowadzce do własnego obszernego domu, plan urządzenia dla mnie pokoju da się urzeczywistnić. W tym celu postanowił mnie wysłać do koleżanki, aby mieć swobodę działania i przygotować niespodziankę. Jak mi potem opowiadała niania — całemi dniami przesiadywał w domu, zajęty urządzaniem, a Zosię sprowadził, aby od niej dowiedzieć się o moich upodobaniach.

Ofiarowanie mi ślicznego różowego pokoiku — było nagrodą za maturę, a na dodatek była obiecana dziesięciodniowa wycieczka do Zakopanego z Ojczulkiem i Romkiem, gdyż ten ostatni stale dowodził, że wyglądam blado i mizernie.

Co do mojej przyszłości nie jestem jeszcze zdecydowana, ale, jak Pani wiadomo, najbardziej pociąga mnie sztuka. Malarstwo jako „sztuka dla sztuki" nie pociąga mnie wcale; sztuka dzisiejszego spoganionego świata wstręt wzbudza i oburzenie, ale sztuka — kapłanka, artyzm — jako apostolstwo dusz... do tego rwie się serce jak na skrzydłach.

Romek, który zawsze otaczał pietyzmem moje nieudolne artystyczne pomysły — namawia bardzo na studja początkowe w Akademji Krakowskiej, mającej zawsze swą tradycję, a potem na dalsze — zagranicą. Mówił nieraz, że czułby się bardzo dumny, mając siostrę „artystkę", może nawet jaką sławę europejską...

Siostra artystka! Dlaczego zabolało to zestawienie? Muszę przerwać na chwilę pisanie, bo słyszę po schodach kroki Romka. Nie chcę, aby widział, że piszę... Przyzwyczaił się, że nie miałam przed nim żadnych tajemnic, a jednak „tego" pokazać bym mu za nic nie chciała.

III.

— Lenko — wołał od drzwi wesoło Romek. Czy robisz już jakie przygotowania do wycieczki? Nie masz pojęcia, jak się ojczulek cieszy. Im starszy, tem żywiej odczuwa potrzebę naszego towarzystwa, zwłaszcza twojego. Zdaje mi się, że teraz dopiero w całej pełni zdaje sobie sprawę, że przez tyle lat działa ci się niesprawiedliwość... I to przeze mnie!

— O, jaki jesteś niepoczciwy, Rom, żeby tak mówić! Czyż nie wiesz, że właśnie tobie zawdzięczam swe słoneczne dzieciństwo. Naprawdę przywiązanie twoje — opieka i troskliwość jakiemi otaczałeś mnie, zastępowały mi miłość matki i ojca.

— Oby tak było zawsze! oby to przywiązanie mogło i nadal — wszystko ci dać i od wszystkiego złego ochronić! — Powiedział to jakoś tak dziwnie uroczyście, że młoda dziewczyna mimowoli spojrzała głębiej w jego oczy, ale te już śmiały się niefrasobliwie...

— A co mi się dzisiaj tak zebrało na patos! — jeszcze tylko potrzeba, aby mi się zaczęły oczy, „pocić". Tylko tegoby brakowało do pełnej charakterystyki mężczyzny — baby — pardon! Tożby miała uciechę panna Zochna! — triumf na całej linji... śmiał się tak zaraźliwie, tak radośnie — jakby w duszy miał zmonopolizowaną wesołość całego świata. I Lenka czuła przypływ tej radości życia, co to początek swój bierze — jak w źródle, w niewinności młodej duszy.

H E J   Z A S N U W A . . .

Hej! zasnuwa przełęcze
mgła sina
i krosienka pajęcze
rozpina.

i otula doliny
te moje
w strój jedyny:
w żałobne zawoje!

a gdzie padnie,
na serce czy turnie
wszędzie na dnie
jest szaro i chmurnie!...

E. Kłoniecki.

CO WIEDZIEĆ WARTO?

W składzie rządu R. P. zaszły zmiany. Ustąpił minister skarbu Jan Piłsudski i minister komunikacji Alfons Kühn. Tekę ministerstwa skarbu objął prof. Władysław Zawadzki, a kierownikiem ministerstwa komunikacji został inż. Michał Butkiewicz.

W roku bieżącym upływa drugi trzyletni okres posiadania przez Polskę t. zw. półstałego miejsca w Radzie Ligi Narodów. Przedstawiciel Polski wniósł projekt reelekcji Polski. Na 52 państwa głosujące 48 wypowiedziało się za przyznaniem Polsce miejsca w Radzie Ligi Narodów.

Drogą wymiany powróciło do Polski z sowietów **40 więźniów politycznych** i 40 osób z ich rodzin. Ludzie ci przeszli w Rosji istne piekło udręczeń fizycznych i moralnych. Serdecznie przyjęci na ziemi polskiej i otoczeni opieką K. O. P-u i Czerwonego Krzyża repatrjanci narazie zostali w Baranowiczach w celu odbycia 10-dniowej kwarantanny.

We wrześniu bawił w Polsce szef sztabu armji amerykańskiej **gen. Douglas Mac Arthur,** który przybył dla zapoznania się z armją polską.

Na Wołyniu odbyły się **manewry międzydywizyjne**, na które zaproszeni zostali wszyscy attachés wojskowi państw obcych w Warszawie.

Międzynarodowy zjazd delegatów związków byłych uczestników wojny światowej **(F. I. D. A. C.)** powołał na prezesa Polaka, gen. Romana Góreckiego. Związek liczy 9 miljonów członków, reprezentujących 10 państw.

Smutnem echem rozbrzmiała po całej Polsce dnia 11 września żałobna wieść o tragicznej śmierci zwycięzców tegorocznego challenge'u (międzynarodowego raidu lotniczego dokoła Europy) — **porucznika Franciszka Żwirki i inżyniera Wigury.** W drodze z Warszawy do Pragi, dokąd udali się celem wzięcia udziału w meetingu lotniczym, samolot „RWDO" dostał się w niesłychanie silną burzę i w Cierlicku Dolnem na Śląsku Czeskim nastąpiła katastrofa. Zwłoki bohaterskich lotników przewiezione zostały do Warszawy, a pogrzeb ich zmienił się w wielką manifestację narodową. Cała Polska oddała cześć pamięci tragicznie zmarłych zwycięzców Challenge'u, a i zagranica dała dowody wielkiego uznania i głębokiego żalu z powodu ich śmierci. Obecnie całe społeczeństwo polskie spieszy z ofiarami na stypendjum lotnicze im. Żwirki i Wigury, na fundusz dla wdowy i syna por. Żwirki, na dzwon imienia lotników w kościele niedaleko miejsca katastrofy i t. d. W całym szeregu miast polskich przemianowano nazwy ulic lub placów, dając im nazwę ulic Żwirki i Wigury. W Cieszynie Czeskim utworzył się komitet budowy pomnika ku czci poległych w miejscu tragicznej katastrofy, w Cierlicku Dolnem.

W miejscowości Heston w Anglji odbył się **zlot awionetek** turystycznych. Pierwszą nagrodę za punktualne wylądowanie otrzymał Polak, Bernard Skórzewski.

Podczas zawodów lotniczych w Cleveland, **w Stanach Zjednoczonych, lotnik polski** pułkownik Kossowski uzyskał rekordowy czas 3 minut 6 sekund w locie pionowym na 1000 m. w górę i w dół. Pomimo faktycznego zwycięstwa Polaka, pierwsze miejsce przyznano Amerykaninowi Wedellowi, wobec pomyłki pułk. Kossowskiego w lądowaniu.

Dnia 18 września w Rzeszowie odbyła się podniosła uroczystość **odsłonięcia pomnika pułkownika Lisa-Kuli,** który zginął pod Torczynem 7 marca 1919 roku, a już jako uczeń 5-tej klasy rozpoczął żywą działalność patrjotyczną. W uroczystości wziął udział Pan Prezydent Rzeczypospolitej oraz wielu dostojników państwa.

W Wielkich Piekarach na Śląsku rozpoczęto **sypanie Kopca Wolności**. Praca ma być ukończona w roku przyszłym, t. j. w 250-tą rocznicę prze-

marszu króla Jana Sobieskiego przez Wielkie Piekary w drodze do Wiednia.

W końcu sierpnia rząd niemiecki wystosował do Francji notę dyplomatyczną, w której **Niemcy domagają** się uznania swego **prawa zbrojeń**. Żądanie to, sprzeczne z orzeczeniem traktatu wersalskiego, wzbudziło zrozumiałe zaniepokojenie na terenie Francji. Obecnie różne niemieckie organizacje wojskowe mają pod bronią półtora miljona ludzi i nieoficjalnie prowadzą zbrojenia w dalszym ciągu, budują pancerniki etc. Teraz domagają się jeszcze oficjalnej zgody Europy i ostentacyjnie wycofały swego przedstawiciela z biura konferencji rozbrojeniowej. Rząd Wielkiej Brytanji w odpowiedzi na żądania Niemiec wydał deklarację odmawiającą im jakichkolwiek uprawnień do zwiększania zbrojeń. Identyczne stanowisko zajął rząd Stanów Zjednoczonych.

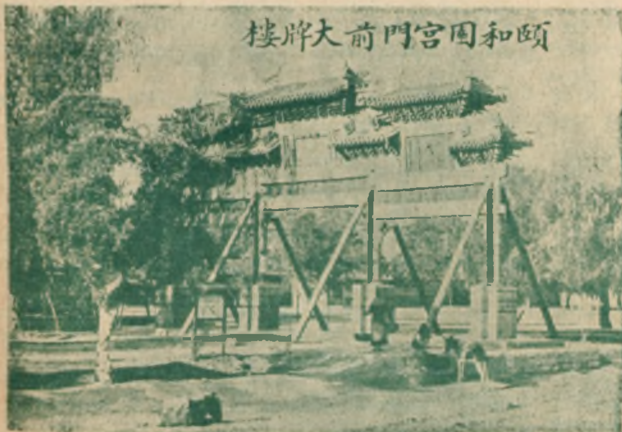
12 września **został rozwiązany parlament niemiecki** (Reichstag) w związku z jego wystąpieniem przeciwko dekretowi prezydenta Rzeszy Hindenburga. Nowe wybory naznaczono na 6 listopada.

W Stressie nad Lagn Maggior **odbyła się konferencja gospodarcza**, obradująca nad planem pomocy państwom Europy wschodniej, środkowej i południowej. Realizacja jednak projektów utworzenia funduszu międzynarodowego i ustalenia pewnych kontyngentów w handlu międzynarodowym napotyka na duże trudności.

Rząd sowietów zrezygnował z planu organizowania na terenie całego państwa przymusowych gospodarstw gminnych, czyli t. zw. **kołchozów**. Wydano dekret pozwalający rolnikom na występowanie z kolektywów i tworzenie gospodarstw indywidualnych.

Sowiety poczyniły **nowe zamówienia na** dostawę parowozów z Pol ki.

Wywóz zboża polskiego zagranicę zwłaszcza do Danji, Finlandji i Belgji **wzrósł** w ostatnich czasach.



Święta brama chińska t. zw. „pajtou" zbudowana ze słupów drewnianych, pokrytych glinianym daszkiem (Patrz artykuł: „Ze sztuki chińskiej" Dziś i Jutro Nr. 1. str. 4).

Włochy przedstawiły Międzynarodowemu Biuru Pracy **wniosek** powszechnego wprowadzenia **40-godzinnego tygodnia pracy**, co wpłynęłoby wydatnie za zmniejszenie liczby bezrobotnych na świecie.

Na Międzynarodowej Wystawie Dzieł Sztuki Religijnej w Padwie przyznano nagrody 10 artystom polskim, w tem medal złoty otrzymał Wacław Husarski. Oprócz Polski medale złote otrzymali tylko Włosi i Węgrzy.

Państwowy Instytut Geologiczny rozpoczął badania na terenie między Jasłem a Sanokiem, gdzie natrafiono na niespotykane dotąd nigdzie w Polsce złoża rudy manganowej. Dotychczas mangan sprowadzano do Polski przeważnie z Rosji.

Towarzystwo Pomocy Dzieciom i Młodzieży Polskiej w Niemczech zorganizowało w Polsce kolonje letnie, z których w ciągu tegorocznych wakacyj korzystało 7000 dzieci polskich z Niemiec.

W ciągu tegorocznych wakacyj letnich urządzono w Polsce **700 obozow harcerskich**, w których wzięło udział 19.500 uczestników i uczestniczek.

Wśród ostatnich katastrof jedną z największych był niesłychanie **silny huragan**, który zniszczył szereg osiedli na wyspach środkowo-amerykańskich, między innemi wielkie miasto San Juan, stolicę Porto Rico.

Ponadto w ostatnim tygodniu wybuchło długotrwałe **trzęsienie ziemi w Grecji**, wyrządzając olbrzymie straty w ludziach i budowlach i niszcząc na wielkiej przestrzeni wszelkie środki komunikacyjne.

Okolice Charbina w Chinach nawiedziła katastrofa powodzi.

We wrześniu bawiła w Polsce **chińska misja oświatowa**, złożona z przedstawicieli wyższych uczelni, oraz dyrektora departamentu ministerstwa oświaty. Egzotyczni goście przybyli w celu zapoznania się z organizacją szkolnictwa polskiego.

W obserwacjach nad **zaćmieniami słońca** widocznem w b. m. w Ameryce, bierze udział ekspedycja uczonych polskich.

Na wysokości 4175 m. nad pow. m., **na lodowcu** Furgen, salezjanin, Ks. Rossi odprawił **Mszę św.**, na ołtarzu przenośnym w obecności 110 seminarzystów salezjańskich przygotowujących się do działalności na misjach.

W Bazylei zorganizowano **międzynarodowe zawody balonów** o nagrodę Gordona Benneta. Wśród 17 balonów 8 państw 2 balony polskie: „Gdynia" i „Polonia" zdobyły IV i VI miejsce. Zwyciężyła Ameryka.

W międzynarodowych konkursach hippicznych w Rydze jeźdźcy polscy zdobyli po raz trzeci z rzędu, a więc już na własność Puhar Narodów. Pierwsze miejsce zajął kapitan Ruciński, drugie rotmistrz Szosland.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Hanna Mortkowiczówna: **Po obu stronach szosy** (nakładem Towarzystwa Wydawniczego Warszawa).

Od niepamiętnych czasów podróżowanie było jedną z największych i najszlachetniejszych przyjemności człowieka. Ciekawość, chęć kształcenia się, chęć wrażeń gnały go zawsze ku dalekim nieznanym krajom, zawsze trawiła go nostalgja za tem, czego nie zna i czego nie widział, zawsze ciekawy był innych żyć i innych ludzi, zawsze chciał w księdze pomników i zabytków czytać żywą historję przeszłości. Dziś wskutek ułatwienia środków komunikacyjnych, zaspokojenie tych tęsknot łatwiejsze jest niż dawniej. Podczas gdy dawniej pielgrzym z trudem a nieraz i niebezpieczeństwem przedzierał się przez bagna i lasy, gdy podróżny konnym dyliżansem wlókł się przez wyboiste drogi — dziś ten sam podróżny wygodnym samochodem pędzi po gładkich szosach; znikły dystanse, świat leży otwarty przed człowiekiem, wystarczy mu na mapie wyznaczyć szlaki swych tęsknot — a szybki wóz przeniesie go w mgnieniu oka do zaczarowanych krain jego snów. Ale wraz ze środkami komunikacyjnemi zmienił się także i charakter podróży. Kraje na których zwiedzenie potrzeba było dawniej lat, a przynajmniej miesięcy, przebiega się dziś w parę tygodni. To też i wrażenia jego są inne, a co za tem idzie i opisy tych wrażeń ulegają zmianie. Niema podróżny czasu badać i studjować. Siedząc w szybko mknącym wozie doznaje podobnych uczuć, jak w kinie: w polu jego widzenia, jak na ekranie, zmieniają się obrazy z błyskawiczną szybkością. Pojawiają się, nikną, budzą w sercu zachwyt, nasuwają jakieś wspomnienia historyczne, lecz zanim je widz zgłębi, już zastępują je inne. Tu jawi się wielki cień Leonarda wśród medjolańskich murów, tuż po nim widać tragiczne duchy Marji Antoniny i Ludwika XVI w paryskich pałacach i już błyska złoto Zygfrydowe na dnie Renu... A samochód pędzi i rozwija przed oczyma podróżnych magiczną taśmę Europy z jej alpejskiemi szczytami i słoneczną Rivierą, z kwiatami południa i śniegami wyżyn, wystrzela w niebo ziemia wieżami gotyku i rozbłyska słońcami renesansowych rozet...

A siedząca w aucie młoda panna, pisarka już nawskroś współczesna, musi z równą szybkością tym nastrojom się poddawać i dla rozkoszy czytelnika notować je i spisywać. Nie ma oczywiście czasu na głębsze studja, nie porywa się też na nie, ale z dużą inteligencją i wdziękiem umie oddać zmienne krajobrazy i nastroje. Nie chce czytelników kształcić, ani pouczać, chce wypowiedzieć swe głębokie wzruszenia, wyświetlić na kartach książki film swoich wizji i przeżyć. A ponieważ jej wzruszenie jest prawdziwe, a wizja jasna i wyraźna, więc i serce czytelnika bije przyspieszonem tętnem, a oczy jego pełne są blasków i cudów świata.

Henryk Glass: **Szlakiem Chudego wilka** (Nakł. Księgarni św. Wojciecha).

„Chudy wilk" to harcerski pseudonim autora. Jako młody chłopiec, w Kijowie, jeszcze przed wojną należy on do harcerskich drużyn, a raczej jest jednym z ich organizatorów. Nie wiedzieli młodzi rycerze, ćwiczący się w rzemiośle wojennem, a jeszcze bardziej w cnotach prawdziwemu rycerzowi potrzebnych, w męstwie prawości, opanowaniu siebie, harcie ducha, że te wszystkie cnoty będą im tak prędko w prawdziwych bojach i niebezpieczeństwach potrzebne. Wojna wybucha. Wkrótce Kijów staje się terenem krwawych wypadków: bolszewicy, Niemcy, Ukraińcy kolejno miasto zdobywają. Szaleje w nim terror, głód, czerezwyczajki. Młodzi harcerze i ich rodziny żyją w ostatecznej nędzy, a co więcej, w ciągłem niebezpieczeństwie życia, zwłaszcza, że wśród tej zawieruchy, wśród bombardowań i prześladowań nie zapominają oni o swoich ideowych pracach, przeciwnie, tem silniej się organizują, tem głośniej wykrzykują swoje harcerskie „Czuwaj"... im wyraźniej w zamęcie świata zaczyna się rysować od tak dawna wyśniony i utęskniony gmach Niepodległości.

Z zapartym oddechem czyta się opowiadania o przygodach i pracach młodych bohaterów, ale bohaterzy ci są naprawdę młodzi, więc nawet w najgroźniejszych chwilach nie opuszcza ich humor, to też nie brak na tych kartach i epizodów zabawnych i wesołych. Trudno n. p. wstrzymać się od śmiechu czytając opis nocnego alarmu w obozie harcerek! Wogóle z temi harcerkami różnie bywa, ale to już dowiecie się z samej książki...

Wśród przygód i niebezpieczeństw dostaje się Chudy wilk do Polski. Ale nie spocznie tu. Z narażeniem życia podejmie się przedostać z powrotem do Kijowa, dla wypełnienia ważnej, poleconej mu misji. Nie spocznie i po powrocie; będzie pracować dalej dla dobra wolnej już Ojczyzny, organizując hufce harcerskie, w których zaprawia się młodzież do owocnej i ofiarnej pracy dla kraju.

Ciekawą tę i szlachetną książkę przeczyta z zajęciem każdy, młodszy i starszy, dowie się z niej wiele ciekawych rzeczy o krwawych dniach Kijowa a zwłaszcza dowie się wiele o bohaterstwie i męstwie polskiej młodzieży harcerskiej.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

ZE SPORTU

Dn. 9 października w Warszawie.

Niedzielny match tennisowy: Tilden-Tłoczyński, był nowem świętem sportowem dla stolicy. Był triumfem białego sportu, poematem harmonji ruchów pełnych plastyki i poezji. Czy nie za dużo pochwał? Nie, nie, i jeszcze raz nie... Jak słowo pisane jest marnem naśladowaniem żywego, tak samo opisy wyczynów sportowych są tylko karykaturą tych ruchów skoordynowanych, miękkich i pięknych. Może tu tylko wchodzić w grę film, ale ponieważ nie mamy jeszcze gazet filmowanych więc musimy się zadowolić pisanemi.

Tilden gra fenomenalnie, i to nie jest jeszcze prawdziwe określenie dla gry mistrza tennisu. Tilden zawsze zostanie uosobieniem tennisu, szlachetnego najpiękniejszego sportu. Jego uderzenia precyzyjne, a lekkie, zabójczy serw wykonany naturalnie bez wysiłku, gra pełna błyskotliwych momentów, niespodziewanych balonów, efektownych smatchów, ruchy zharmonizowane, celowe i w wysokim stopniu estetyczne, wszystko to składa się na laur pochwał i zachwytów, który otacza „Wielkiego Tildena". Można śmiało powiedzieć, że Wiliam Tilden jest postacią sportową najbardziej popularną na całym świecie.

Dzień niedzielny, który został wybrany na ten match był szary, mglisty i chłodny. Idealny czas do wszelkich poczynań sportowych. Niebo, które w sobotę oblewało nieszczęsnych warszawiaków potokami deszczu i w niedzielę groziło potopem. Mimo gróźb przestworzy, publiczność gęsto zalegała trybuny. Trzeba przytem zaznaczyć, że trybuny ze stojącemi miejscami miały dużo większe powodzenie niż loże. Oczywiście na zmianę gustu wpłynął kryzys, faktem jednak było, że loże po prawej stronie kortu były nabite. Z zadowoleniem patrzyłam na tych prawdziwych „męczenników sportowych", którzy owiani duchem sportu potrafili cztery godziny stojąc trwać prawie bez ruchu, aby tylko oglądać wielkiego amerykanina, Na tych trybunach widziało się przeważnie młodzież szkolną, akademicką i wogóle twarze młode i dziarskie. Natomiast w lożach można było podziwiać piękne panie w jeszcze ładniejszych futrach i kapeluszach. Charakterystycznem było to, że już koło godziny pierwszej loże pustoszały, a trybuny stojące do końca były przepełnione.

Match rozpoczął się punktualnie o godzinie 11-tej trzydzieści i trwał do 3-ciej trzydzieści. W programie były dwa single i jeden duble zagranicznych gości. Huragan braw przywitał wchodzącego na kort Tildena. Tilden wysoki pan, trochę pochylony, idzie kulejąc, po skręceniu nogi w Berlinie, zdobywa publiczność uśmiechniętemi ciemnemi oczami, o których mówią Francuzi, że są „petillantes de malice". Długie ręce długie nogi i jasna czupryna, oto, co się rzuca w oczy, gdy się patrzy na „mistrza rakiety". W czasie gry jest przemiły, to też bywalcy kortu stwierdzali jednogłośnie, że tak wesołego matchu Legja nie pamięta. Publiczność brała bardzo żywy udział w grze. Oklaski i okrzyki zachwytów rozbrzmiewały co chwila. Bo naprawdę danem było widzieć grę wspaniałą. Następny match Barnes-Neusslein, nie absorbował tak publiczności, dopiero gdy znowu na kort wrócił Tilden, by rozegrać w dublu pokazowego septa trybuny zawrzały. I znowu widzieliśmy wspaniałe smatche, niespodziewanie ścinane piłki i długie wymiany piłek z głębi kortu i krótkie, błyskawiczne walki koło siatki.

Po skończonem matchu tłum otoczył Tildena i jego niemniej sławnych towarzyszy. Proszono go o podpisy, ściskano jego rękę i oglądano rakiety. Ody wychodziłam z placu nasunęła mi się refleksja, która często mi się nasuwa, gdy widzę coś pięknego: „Jak dobry jest Bóg, że tak piękne rzeczy stwarza i nam je oglądać pozwala".

Dena Mazasaki.

JUTRO

DZIAŁ SAMODZIELNIE PRZEZ MŁODZIEŻ REDAGOWANY

PAMIĘCI ŻWIRKI I WIGURY

Gdzie były Twoje myśli, Poruczniku bohaterze, kiedy na skrzydłach żelaznego ptaka niosłeś sztandar Polski — jej honor i sławę? O czem śniły Twe oczy, jasne, rozwarte, wpatrzone w wynurzający się w błękitnej dali Berlin? Czy, kiedy wśród okrzyków i entuzjazmu tłumu, osiadał Twój samolot zwycięski na berlińskiem lotnisku, warkot motoru nie mówił Ci, że to jeden z ostatnich Twoich lotów, że życie rzuca Ci swój najpiękniejszy może kwiat sławy na drogę tajemniczą i ciemną, tak różną od słonecznych, podniebnych wyżyn. Śmiałeś się, kiedy wręczono Ci nagrodę, laur olimpijski, kiedy Twoje imię tak śmiesznie wymawiane przez cudzoziemców, obiegło cały świat i daleką, nieznaną Polskę wskrzesiło znów w pamięci wszystkich. Byłeś dumny, żeś spełnił swe zadanie, Polaka bohatera!

I wiem, o czem myślałeś w tej chwili, o Twym maleńkim synku, który nosek rozpłaszcza na szybie i na dalekim horyzoncie wypatruje ciemnego punkciku, samolotu ojca bohatera. I wierzyłeś, że zostawisz mu blask swojego imienia, miłość i szacunek Twoich współrodaków, które uczynią mu życie znośniejszem. I znów po szeregu dni chwały, dni uciążliwych, przez wywiady, przez bezustanne entuzjastyczne powitanie leciałeś w daleką drogę, ku granicy niemieckiej się kierując. Leciałeś poruczniku bohaterze w honorowej eskorcie aeroplanów, a z Tobą był konstruktor Twego ptaka druh serdeczny. Zatopiła się myśl w słodkiem marzeniu o sławie, a duma szlachetna rozpierała serce. A wróg czuwał.

Zwyciężone bogi powietrza zgniecione piersią żelaznego ptaka, burze i huragany czyhały na jedną chwilę słabości. Wrześniowy burzliwy poranek groził gęstwą chmur czarnych i postrzępionych.

I właśnie kiedy słoneczny rycerz pogrążał się w wspomnieniach, kiedy romantyczny duch słowiański brał górę nad trzeźwością zwycięscy lotnika, uderzyły wichry! Skręcił się, i zwinął królewski kadłub samolotu, ster nie usłuchał już bezwładnej dłoni.

Wysiłki daremne. Szalony taniec, opętańczy kołowrót chmur, nieba, lasów i domów ziemi coraz bliżej i bliżej, trzask, huk, uderzenie i już cisza wielka, wieczna cisza. Jeszcze raz powtórzona tragedja podniebnych Ikarowych lotów, ukaranie śmiałka porywającego się na zdobycie sinych krain powietrza.

Do niebieskich krain dotarłeś nareszcie Ikarze, do świata słońca i ciszy, gdzie podlatywał często Twój dumny ptak. I lauru chwały Twej nie wydrze już nikt i staniesz przed tronem Najwyższego jako Jego pierwszy lotnik niebieski, jako prawdziwy król przestworzy.

A imię Twoje jest nieśmiertelne.

Zofja Kolankowska.

DO ASTROLOGÓW

O wielcy astrologowie,
Mówiąc pomiędzy nami,
Nie chwalcie się tak przed ludźmi,
Że rozmawiacie z gwiazdami.
Górne są wasze wywody
I mądre spory gorące,
Lecz dla was, wielcy uczeni,
Gwiazdy zostają milczące.

Milczące i jednakowo
Są niezbadane prawie,
Albowiem gwiezdnych tajemnic
Jesteście zbytnio ciekawi.
Na wasze dziwne twierdzenia,
Co brzmią zawile i szumnie,
Patrzą z tych swoich wyżyn
Zwykle szyderczo i dumnie.

Nie wzrusza ich wasza nauka,
W wszechświecie, cóż ona znaczy?
A gwiazdy znowu nie lubią
Swoich tajemnic szperaczy.

Lecz inni są ludzie na świecie
I nie uczeni koniecznie,
Do których duszy i serca
Gadają gwiazdy serdecznie.

Albowiem ludzie ci zwykli
Gwiazd swoją wiedzą nie płoszą,
Jeno ich obraz świetlany
Miłując, w sercu swem noszą.

O jednakowej godzinie
W wieczorny mrok ciemno-siny,
Dusze tych ludzi nieznanych
Na gwiezdne lecą wyżyny.

Lecz wy, o wielcy uczeni,
Nie polecicie za niemi,
Albowiem wasza uczoność
Zbytnio was trzyma przy ziemi.

Tylko przez szkła i lunety
Gwiazd biegi obserwujecie,
A że są one milczące,
Zato wy gadać będziecie.

Każdy z was, losy człowieka
Z gwiazd biegu orzec jest skory,
Ale się często mylicie,
Zbyt pewni siebie, gwiazdory.

Dlatego, astrologowie,
Mówiąc pomiędzy nami —
Nie chwalcie się tak przed ludźmi,
Że rozmawiacie z gwiazdami.

R. Gerlecka.

W Y C I E C Z K A

17 września wyjechaliśmy z Krakowa na wycieczkę geograficzną w okolice Krzeszowic, Tęczynka i Niedźwiedziej Góry. Jadąc pociągiem zauważyliśmy dwa pasy wzgórz ciągnących się opodal; przejechaliśmy Mydlniki i Zabierzów, przez który przepływa rzeczka Rudawa; w Niegoszewicach, obok których przejeżdżaliśmy — stał pałac Rostworowskich. W Rudawie znajdował się kościółek gotycki; wille zastępują tam chaty, gdyż każdy prawie, choć niebogaty mieszkaniec, stawia sobie willę. Wreszcie przybyliśmy do Krzeszowic; znajduje się tam Zakład kąpieli siarczanych; gips i siarka, skały osadowe chemicznego pochodzenia rozpuszczają się w wodzie, którą sprowadza się do Zakładu i używa w celach leczniczych. W Krzeszowicach sprowadza się wodę do domów z okolicznych wywierzysk. W parku, w którym stoi Zakład kąpielowy, widzieliśmy blok »dla Nieznanego Żołnierza« z okolicznego porfiru, skały wylewnej ogniowego pochodzenia; stąd wnioskujemy, że w okolicach Krzeszowic musiały być przed wiekami wulkany; aleje parku były wysadzane staremi drzewami, świadczącemi o starości osady. Widzieliśmy dalej pałac Potockich, postawiony w 19 wieku, który przeszedł obecnie w posiadanie Rostworowskich; zwierzyniec Potockich znajdujący się w Krzeszowicach, został założony przed 30 laty; widzieliśmy również nowy kościół w stylu gotyckim i potok o charakterze wyżynnym, ponieważ okolica Krzeszowic jest wyżynna; potok ten jest wykorzystany dla tartaków. W Krzeszowicach znajduje się kopalnia węgla. Po obejrzeniu tego wszystkiego wyruszyliśmy do doliny Rudawy. Dolina jest zbudowana z lesu, skały osadowej, mechanicznego pochodzenia; skały te są pofałdowane w formie antyklin, jak dolina Rudawy, i synklin. Ludzie wykorzystali owe synkliny, ponieważ na nich powstały osady. Widzieliśmy tam również strome pagórki wapienne o pięknych formach, pokryte cienką warstwą ziemi, zwanej zwietrzeliną, na której rosły lasy; ludzie jednak wycinają te lasy, wówczas deszcz spłukuje ziemię i zostaje sama naga skała wapienna; wapień jest nieprzepuszczalny, a szczeliny powstają w nim przez wypłukanie; w wapieniu powstają zjawiska krasowe i lustra tektoniczne przez obsuwanie się skał. Wapień służył dawniej do budowy klaszto-

rów, kościołów i t. d., a dziś służy do budowy dróg, na fundamenta, a po wypaleniu do zaprawy murarskiej. W dolinie Rudawy widzieliśmy zająca i małą jaszczurkę, a Z. i K. znalazły amonity, czyli skamieliny głowonogów w skałach organicznego pochodzenia; świadczyło to o tem, jak nam wyjaśnił P. Profesor, że dawno, w erze mezozoicznej, a w okresie jurajskim znajdowało się tam morze, o temperaturze około 18° C. Można więc tam znaleźć gąbki, skorupki ślimaków, małży i korali oraz amonity. W związku ze znalezieniem jaszczurki wspomniał p. Profesor, że w okresie jurajskim żyły tu jaszczury o długości 30—40 m. Na zachód od Krzeszowic znajduje się fabryka barwików, a na północ od doliny Rudawy jest sortownia porfiru, sprowadzonego z Miękini.

Z doliny Rudawy, po pierwszym spoczynku udaliśmy się do Tęczynka; po drodze zauważyliśmy wspaniały okaz starego jaworu. Zdala widzieliśmy kopalnię węgla »Krystyna«, dokoła której stały czarne, przysypane pyłem węglowym domki górników. Wkrótce przybyliśmy do Tęczynka, gdzie znajduje się browar tęczyński. We wsi zobaczyliśmy nagą skałę z piaskowca, na której rośnie sosna; z Tęczynka widać było górę tęczyńską z krzyżem na szczycie. Przy kopalniach węgla za Tęczynkiem pokłady węgla są przykryte przez warstwy piaskowca, na którym widać czarne łupki, świadczące, że w głębi znajduje się węgiel. Za Tęczynkiem znajduje się cegielnia; w okolicy wioski znaleźliśmy kawał granitu pozwalający wnioskować, że przed 100, lub 150 tys. lat lodowce przyniosły granit ze Skandynawji i Finlandji na ziemie polskie. Można również znaleźć otoczaki kwarcowe, wypłukiwane z piaskowców. Z Tęczynka udaliśmy się do sortowni bazaltu; sortownia ta została założona w 1929 r., a nazywa się »Dom szlachetnych wyrobów«. — Skały miele się na coraz to mniejsze kamienie, a wreszcie na żwir, który zmieszany z asfaldem używany jest do wykładania nawierzchni dróg. Obok sortowni stał dom górników, gdzie w sali górniczej znajdował się obraz św. Barbary, patronki górników, którzy zbierają się tam na wspólne modlitwy i posiłki. Z sortowni wyruszyliśmy dalej w drogę. Pod Niedźwiedzią Górą znajduje się nieczynna kopalnia węgla. Wkrótce przybyliśmy do kamieniołomu bazaltów, skał ogniowego pochodzenia, rozsadzonych zapomocą dynamitu. Widzieliśmy tam zawieszonego na linie mającej 3 cm. grubości robotnika, który strącał rozsadzone odłamy skał. Następnie weszliśmy na Niedźwiedzią Górę, porośniętą lasami, skąd rozciągał się wspaniały widok na okolicę. Załączona fotografja robiona jest na Niedźwiedziej Górze. Bawiliśmy tam godzinę, a potem wyruszyliśmy na stację do Krzeszowic. Wkrótce byliśmy już w Krakowie, chociaż zmęczeni, lecz zadowoleni z pięknej wycieczki.

Lidja Sikorska, kl. V. gimn.



TREŚĆ Nr. 2.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie 8 zł. = Cena numeru pojedynczego 80 gr. Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404930.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: *Julja Felicja Bronikowska.*

Adres Red.: Kraków. ul. Starowiślna 11.

Druk. „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.

aw